

# WSZYSTKO SIĘ JAKOŚ POZACIERAŁO

13 grudnia 1981 r. obudziłam się po 9 rano, postanowiłam wreszcie się wyspać. Myślałam, że już wszystko jest za nami, bo skończył się strajk studentów. Przed pójściem do kościoła chciałam posłuchać kazania z Mszy radiowej. Kręcę gałkami, a tu nic. W końcu coś mnie tknęło i przejechałam na RWE, ale nic nie mogłam usłyszeć, bo było straszne zagłuszenie. Dotarł do mnie tylko jakiś taki bardzo poważny ton spikera i powtarzające się nazwisko Jaruzelskiego, więc pomyślałam, że on umarł, ale przecież to ich nie powinno aż tak martwić. A może on coś zrobił?

Za chwilę przybiegła do mnie sąsiadka, której mąż pracował na AGH, i powiedziała mi, że jest stan wojenny, a na AGH strajkują. Ubrałam się szybko i poszłam na uniwersytet, gdzie było coraz więcej ludzi, tych działających w „Solidarności”; do południa przyszło około 100 osób. Ogłosiliśmy strajk absencyjny, a plakat o tym wisiał na Plantach przed uniwersytetem do 8 wieczór. Na uniwersytecie miał zebrać się tzw. mały senat – dziekani i rektorzy, żeby przyjąć stanowisko w zaistniałej sytuacji.

## Spacer ze znaczkiem

W Krakowie strajkowało MPK, nie było komunikacji, więc chodziliśmy po mieście i zawiadamialiśmy ludzi, którzy mieli w tym posiedzeniu uczestniczyć. W tym czasie kilka osób z kierownictwa „Solidarności” obradowało w całkowitej konspiracji. Nie znałam wówczas ich decyzji. Zebrał się Senat i uchwalił oświadczenie potępiające stan wojenny. Uczelnia zachowała się bardzo przyzwoicie. Następnego dnia Wydział Prawa ogłosił opinię prawną, wykazując nielegalność stanu wojennego. W poniedziałek 14 grudnia zrobiłam zebranie koła „Solidarności” w moim instytucie, przystąpiliśmy do strajku absencyjnego, więc wszyscy poszli do domu. Na moje kategoryczne życzenie również ekipa malująca nasze pomieszczenia przerwała pracę. Strajk zepsuli nam czerwoni, ponieważ zawiesili zajęcia na uczelniach (najdłużej na UJ), zatem efekt naszej decyzji został pomniejszony. 17 grudnia byłam na Mszy świętej w Kościele Mariackim w intencji poległych górników. Po Mszy była pierwsza wielka manifestacja uliczna w Krakowie. ZOMO oczywiście polewało nas wodą, było 12 stopni mrozu. W tym samym dniu przed południem nieżyjący już prof. Godłowski, archeolog, poprosił mnie o przeniesienie czegoś z Wydziału Biologii na Archeologię. Niosłam ok. 10 kg bibuły, na rękawie palta miałam czarną opaskę i w klapie coś, do czego byłam bardzo przywiązana i zrośnięta z tym – to był znaczek „Solidarności”. Szłam zupełnie pewnie, nie przyszło mi do głowy, że i opaska, i znaczek wyglądały dość jednoznacznie. Przeszłam całe miasto i pies z kulawą nogą mnie nie zatrzymał. Takie były początki.

## W podziemiu i na ziemi

Na początku roku 1982 spotkałam kolegę ze ścisłego kierownictwa jawnej „Solidarności” w UJ, który mnie poinformował o realizacji tego, co postanowiliśmy w marcu 1981 r., że w przypadku delegalizacji czy ataku na związek powoła się tajną strukturę. Zaproponował, żebym weszła w jej skład. Zgodziłam się. Wydawaliśmy „Wolną Mysl”, pismo kierowane

do środowisk twórczych Krakowa. Pierwsze numery pisaliśmy na maszynie, jednorazowo robiło się osiem przebitek, a ta gazetka miewała i 16, i 20 stron w nakładzie około 100 egzemplarzy. To była ciężka praca. Później już ktoś robił nam ją na powielaczu. Oczywiście zbieraliśmy pieniądze. Nasz wydział zbierał pieniądze dla Komitetu Pomocy Represjonowanym. Udało się nam zorganizować Dzień Dziecka. Podarunek był symboliczny – widokówka ze śmiesznym kotem, który ogonem pisał: „Solidarność”. Chodziło o to, żeby ten symbol się utrwał.

Działaliśmy i w podziemiu, i oficjalnie, o czym ubecja oczywiście wiedziała. Wszystkie samorządowe funkcje na uczelni były przez nas obsadzone. W zastępstwie komisji związkowych powołaliśmy komisję socjalną przy rektorze, żeby móc załatwiać nasze sprawy. Wpisaliśmy to w statut uczelni, w ten sposób wyszliśmy na powierzchnię. Działaliśmy na tyle sprawnie, że mało skuteczne były działania weryfikacyjne. Na moim wydziale nikt nie został zweryfikowany negatywnie. Robiliśmy swoje w podziemiu i „na wierzchu”. Do 1989 r. dwa razy odbyły się wybory rektorów, absolutnie pod dyktando „Solidarności”. Elektorami byli ci, których my wyznaczaliśmy, wszystko było uzgodnione. Ubecja wiedziała o tym, wściekała się, ale była bezradna. Pisali, że „Solidarność” ma decydujący wpływ na różne działania uczelni. Byli bezradni – aresztować nas nie chcieli i nie mogli. Nie chcieli rozgłosu wokół takich spraw, bo to jednak był uniwersytet i to by się odbiło szerokim echem, także poza Polską. Gdy ktoś był zbyt długo na przesłuchaniu czy, nie daj Boże, chcieli kogoś zamknąć, to natychmiast była awantura, interweniował rektor. Nawet nie byli ordynarni na przesłuchaniach, co było nagminne wobec przesłuchiowanych robotników, nas jakoś się bali. Wiedzieli o nas wszystko, ale nie byli w stanie zapobiec naszej działalności.

### **W sprawie honoru**

W „Wolnej Myśli” mieliśmy kronikę hańby – ujawnialiśmy haniebne zachowania ludzi z naszego środowiska, po nazwisku. Uniwersytet wtedy był inny niż dziś. Krawczuk wystąpił w telewizji, chociaż był jej bojkot. Od studentów dostał 30 złotych, napisali, że nie dysponują srebrnikami. A on powiedział, że pieniądze nie śmierdzą. Później napisał jakiś żaloszny list po śmierci Andropowa we wroniej „Gazecie Krakowskiej”. Efekt był taki, że mu się nie podawało ręki. Gdy zasiadał w jakimś gremium, ludzie przesiadali się o krzesło dalej. Był izolowany. Ja się wtedy dobrze czułam na UJ, bo czuło się wierność, poczucie honoru, szlachetność i jedność między profesorami, młodszą kadrą naukową i tymi, którzy nie byli nauczycielami akademickimi. Była to wspólnota. Byliśmy bardzo aktywni w walce o ustawę o szkolnictwie wyższym. Ta walka nie była bardzo skuteczna. Ale kiedy narzucono nam pewnego profesora – zatrudnił go minister, bez zgody Rady Wydziału, to gdy pojawił się na pierwszym posiedzeniu rady, nie było zwyczajowego brawa na powitanie nowego członka. Zapadła śmiertelna cisza. A dzisiaj wszyscy go poklepują, to ich kolega, nadal pracuje. Wszystko się pozacierało.

### **Zachować ciągłość**

Pierwsze jawne spotkanie „Solidarności” urządziliśmy nieprzypadkowo 19 października 1988 r. (w rocznicę śmierci ks. Jerzego). Uczestniczyło w nim ok. 500 osób. Na UJ do „Solidarności” przed stanem wojennym należało 95 proc. pracowników. Staraliśmy się o zaakcentowanie ciągłości przynależności do „S”. Przygotowaliśmy druk potwierdzający przynależność do NSZZ „S” od 1980 r. To nie była deklaracja przystąpienia, ale właśnie ciągłości bycia w związku. Mnie na tym bardzo zależało. Na uniwersytecie złożyło ten ro-

dzaj oświadczeń tysiąc osób. Wcześniej staraliśmy się o ponowne rejestracji sądowej „S”. Dwa razy jeździliśmy do Warszawy w tej sprawie. To była akcja ogólnopolska, odnawiania rejestracji, wychodzenia z podziemia. Myślałam, że ten duch „Solidarności” przetrwa, ale potem na uczelni rozpoczęło się popieranie przez inteligencję środowisk lewicowych. To były wpływy zachodniego lewactwa. Tak było nie tylko w Krakowie.

### **Śmierć Włosika i RKS**

Wróćmy jednak do pierwszych lat konspiracyi. Kolejne moje starania szły w tym kierunku, żeby nawiązać kontakty ze strukturami regionalnymi, tym bardziej że UJ przed stanem wojennym był tzw. zakładem „A”, czyli w Śródmieściu odpowiedzialnym za mniejsze komisje zakładowe. Taką strukturę miała „Solidarność” – A, B, C. Oczywiście dokładnie tego układu nie dało się odtworzyć, ponieważ były instytucje, np. poczta, które zostały zmilitaryzowane. Ale powoli udało się nawiązać różne kontakty.

Byłam jedną z osób współtworzących Regionalny Komitet „Solidarności”, początkowo, po śmierci Włosika, był to Regionalny Komitet Strajkowy. Włosik został zamordowany 13 października 1982 r. na ulicach Nowej Huty. To był dwudziestoletni chłopak. W Arce Pana, w tym kościele w Nowej Hucie, odbywały się zawsze nabożeństwa fatimskie, od maja do października. Po zakończeniu nabożeństwa rozpoczęła się demonstracja (jak każdego 13 dnia miesiąca) i oczywiście akcja ZOMO. Bili ludzi, zaczęły się walki uliczne. On był uczestnikiem tej demonstracji i rozpoznał w niej oficera SB. Ostrzegł kogoś – uważaj, to jest esbek! Ten esbek to Andrzej Augustyn, byłam na jego procesie w 1990 r. Dostał wtedy osiem lat. Jego obrona utrzymywała, że był ciężko chory na serce, taki biedniutki. Chore serce nie przeszkadzało mu jednak ścigać dwudziestolatka, żeby go zastrzelić. Nie był atakowany, strzelał do uciekającego, od tyłu.

### **„Solidarność” żyje**

Po tym wydarzeniu powstał RKS, jako stała struktura. Wszyscy w niej działali, nie dając nazwiska. Równolegle funkcjonował Regionalny Komitet Wykonawczy z Władysławem Hardkiem na czele, który tkwił w podziemiu i swym nazwiskiem firmował działalność. Nie był to najlepszy pomysł. Jeśli ktoś się ukrywał, był zdany na informacje od garstki osób, które miały z nim bezpośredni kontakt. Znał więc rzeczywistość tylko z przekazów tych osób i w jakimś sensie tracił poczucie rzeczywistości. Ważne było, żebyśmy byli w zakładach pracy i żeby „Solidarność” żyła w nich. Po wpadce Hardka tak tworzyliśmy struktury związkowe, że nikt się nie ukrywał, wszyscy normalnie pracowali w swoich miejscach pracy, a podziemie było podziemiem. Chodziło nam przede wszystkim o pracę nad świadomością ludzi. „Kronika Małopolska” była pismem RKS. Oprócz tekstów drukowaliśmy w nim potwierdzenia wpłat na „S”. Komisje zakładowe miały swoje kryptonimy, a podawana obok liczba mówiła o wysokości wpłaty. Kolportowaliśmy książki – ludzie chcieli wtedy czytać, wszystko szło jak gorące bułeczki. Wydawaliśmy przepiękne znaczki, które robili plastycy, kalendarze „Solidarności”, kartki świąteczne, prawdziwe i satyryczne. Przed wyborami odbywało się plakatowanie miasta, umilaliśmy czerwonym pierwszomajowe obchody. Przede wszystkim chodziło o to, żeby ludzie wiedzieli, że „Solidarność” żyje. Obchodziliśmy wszystkie uroczystości narodowe – 3 Maja, 11 Listopada, oczywiście 31 Sierpnia, choć to było najtrudniejsze, bo wtedy w mieście było najmniej ludzi, jeszcze trwał okres wakacyjny. Organizowaliśmy strajki, akcje protestacyjne i uczestniczyliśmy w nich, wydawaliśmy instrukcje, jak się zachować w konkretnych sytuacjach, np. gdy zmuszano ludzi, by wstępowali

do wronich związków, co było sprzeczne z kodeksem karnym, i należało żądać takiego wymogu na piśmie. Pilnowaliśmy uprawnień załóg pracowniczych.

W pewnym momencie rozpoczęły się prace nad programami. Chcieliśmy się przygotować do życia w wolnym kraju. Nikt nie miał pojęcia, jak ma być w wolnej Polsce, szczególnie w kwestiach gospodarczych. Najlepiej wiedzieliśmy, jak zwalczać komunę, wiedzieliśmy, co przeszkadza Polsce w normalnym rozwoju, ale jak ma funkcjonować państwo, gospodarka – do tego nam brakowało doświadczeń. Prowadziliśmy działalność edukacyjną.

### **Spotkanie ludzi podziemia**

Kilka rzeczy mnie od dłuższego czasu gnębi i zastanawia. Pierwsza – był rok 1986, maj, może kwiecień. Przyszła wiadomość, że w Warszawie ma odbyć się spotkanie działaczy podziemia, którzy mają stworzyć quasi Komisję Krajową – TTK była władzą wykonawczą. Komisji Krajowej w kształcie wybranym na zjeździe nie dało się odtworzyć, bo części osób nie było, a co do niektórych nie było pewności, jaką rolę w tej strukturze odgrywają. To była konspiracja do kwadratu. Z Krakowa miały być dwie osoby – ja i taki człowiek, który teraz pracuje w NIK. Spotkanie miało się odbyć 6 czerwca. 31 maja aresztowano Zbigniewa Bujaka. Byłam ciekawa, jakie w związku z tym będą decyzje, i pomyślałam – dobrze, że to spotkanie się odbywa. Według mojej wiedzy miało być na nim między 60 a 70 osób. Gdyby nas wszystkich stamtąd wygarnęli, to coś by się poruszyło w tej trochę jednak już zastygłej atmosferze. Był to okres spadku aktywności społeczeństwa – niewiary, próby przystosowania się do sytuacji. Nas, ludzi działających aktywnie, to nie dotyczyło. Działaliśmy w pełnej konspiracji. Gospodyni domu, w którym teraz jesteśmy, która była mi bliska jak matka, powiedziała – słuchaj, ja wyjeżdżam na południe Polski, nie wiem, kiedy wrócę, i bardzo cię proszę, nie szukaj mnie przynajmniej przez dwa tygodnie. Nic więcej nie mogę powiedzieć. Przed wyjazdem nie spałam u siebie w domu, żeby dojść na dworzec bez ogonów. Pojechałam do Warszawy. Oczywiście wcześniej miałam podany adres, pod który mam się zgłosić, hasło i odzew. Nie pamiętam go, bo bardzo dobrze wytrenowałam się w zapominaniu nazwisk i adresów. To chyba było gdzieś na Żoliborzu. To była stuprocentowa konspiracja według najlepszych wzorów okupacyjnych. Każdy z nas dwojga z Krakowa jechał innym pociągiem.

### **Aresztowanie Bujaka**

Dotarłam tam jakoś, spacerując po Warszawie, zwiedzając. Zachowywałam się jak turystka, robiłam zakupy. Miałam wrażenie, że nikt za mną nie idzie. Wreszcie dotarłam na to miejsce, tam już byli jacyś ludzie ze Śląska i wtedy dowiedziałam się, że wszystko jest odwołane, ponieważ aresztowany jest Bujak i mogłaby być wielka wsypa. Razem z tymi Ślązakami zrobiliśmy straszną awanturę – co z tego, że jest aresztowany Bujak! Między innymi chodziło właśnie o to, żeby zrobić się szum. Byliśmy przygotowani na ewentualność uwięzienia, ja zawsze miałam przy sobie „sprzęt” – szczoteczka do zębów itd. Uważaliśmy, że nie wolno tego odwoływać, ale ktoś tak zdecydował. Teraz patrzę na to z perspektywy „okrągłego stołu”, afer z Lesiakiem i innymi. Pytanie, które stawiam, jest takie – czy aresztowanie Bujaka było przyczyną odwołania tego spotkania, czy aresztowanie było po to, żeby to spotkanie odwołać? Podejrzewam, że była to wielka mistyfikacja. Być może komuś przyszło do głowy, że działanie takiego ciała – w momencie, kiedy już trwają rozmowy przygotowujące porozumienie, „okrągły stół” – byłoby niebezpieczne. Obawiano się naszej niepokorności i tego, że na warunki dotyczące ewentualnego „okrągłego stołu” się nie zgodzimy. Byliśmy niepotrzebni, tak to teraz widzę. Nigdzie nie natknęłam się na raporty SB

dotyczące tego zdarzenia, a przecież to była duża inicjatywa. I to mnie zastanawia, szczególnie z dzisiejszej perspektywy.

### **Panowie domokrzęcy**

Nie spotkałam również w materiałach udostępnionych mi przez IPN śladów jakby drugiego aktu tego wydarzenia. Bujaka wypuszczono 11 września. Wtedy brano nas wszystkich na komendę, żebyśmy podpisywali takie lojalki, oświadczenia, że nie będziemy działać. To było dosyć zabawne. I znów ja to widzę w kontekście toczących się wtedy rozmów z reżimem. Trzeba było powydobywać z podziemia te krety, bo one już nie pasowały nowemu kierownictwu, może nie „Solidarności”, ale tym różnym lewakom. Tak to dziś widzę. Ta akcja była przeprowadzona w całej Polsce, w tym samym terminie, czyli 11 września. Kolegę, z którym pracowałam, zawieźli na ubecję w kajdankach. Wzięli go z ulicy, zakuli w kajdanki, wrzucili do suki i zawieźli, żeby podpisał. Opowiem o swoim przypadku, bo trochę im zrobiłam kłopotu. Wtedy mieszkałam przy Słowackiego w wysokiej, międzywojennej kamienicy, na ostatnim piętrze, piątym. Co tydzień w konkretny dzień rano chodziłam na targ, gdzie kupowałam jarzyny, a to był też punkt, w którym odbierałam „Kronikę Małopolską”. Niosłam ją potem w koszu pod tymi jarzynami. To był pierwszy etap kolportażu z drukarni, miałam każdorazowo 400 egzemplarzy, w rulonie. Z takim ładunkiem wjeżdżam na piąte piętro, wysiadam z windy, a na schodach stoi dwóch rosyjskich panów, mało sympatycznych. Wiedziałam, że najlepszą formą obrony jest atak. – A panowie co, domokrzęcy? Mam po milicję zadzwonić? Co wy tu robicie, przecież tu nie mieszkacie! – A czy pani zna panią Barbarę Niemiec? – A pan nie zna? – No tak, my właśnie do pani. – W jakiej sprawie? – No, pójdzie pani z nami. – Nakaz aresztowania proszę. Nie ma. No, to nie pójdę, bez nakazu aresztowania nie mam żadnego obowiązku, żeby iść z wami na przesłuchanie. O przesłuchaniu zawiadamia się wcześniej, mam dzisiaj inne plany, nie mam dla panów czasu. To była głośna rozmowa na schodach, klatka schodowa miała w środku taką studnię, więc niesło się to po całym domu. – Ale ja mam druki wezwań *in blanco*, mogę pani wręczyć. – Dzisiaj nie będziemy rozmawiać. On się załamał i mówi: no, to może tutaj? – Co, na schodach chce pan ze mną rozmawiać? – No nie, u pani w mieszkaniu. – Chyba pan zwariował, w mieszkaniu przyjmuję tylko przyjaciół! Mówiłam to wszystko z wielką pewnością siebie, chociaż bałam się, oni byli rośli, a ja stałam z kluczami od mieszkania w ręce, bo wyciągnęłam je już w windzie i zastanawiałam się, kiedy oni mi je wyrwą. Oni mówią, że samochód czeka. – No, wyście już wozili ludzi samochodem, dziękuję bardzo, pójdę o własnych siłach. W końcu pytają: to kiedy pani przyjdzie? Jutro pani musi być. – To proszę wypisać mi wezwanie, 1:0 dla was, bo muszę to przyjąć. Z poczty nie przyjmowałam takich wezwań.

### **Porno pod orłem**

Byłam chyba jedyną osobą w Polsce przesłuchaną 12 września i wiem, że się bardzo tłumaczyli – to wynika z papierów – że nie potrafili mnie wziąć tego 11. Klóciłam się z nimi jak prawdziwa, zapamiętała baba. Z takimi wielkimi drabami zwyciężyłam na gębę. Po co była ta akcja? To wszystko było dosyć nielogiczne. Zasiadłam w tym pokoju, w którym bywałam wcześniej, pan cytował fragment ustawy o amnestii i podsuwał mi długopis i kartkę, a ja patrzyłam tępo w ścianę i tę kartkę od siebie odsuwałam. Takie przedstawienie trwało pewnie ze 45 minut, potem znalazłam inny obiekt obserwacji – w tym pomieszczeniu pod orłem wisiał kalendarz z wizerunkiem kobiety o obfitym, nagim biuście i z koniem z rozwianą grzywą. Coś w rodzaju „Szału” dla ubogich. Porno pod orłem. Gapiłam się w to jak sroka

w kość, co w końcu zdenerwowało esbeka i powiedział, że takie demonstracyjne oglądanie jest brakiem wychowania. Gdy dotarło do niego, że nie podpiszę żadnego świstka, wezwał kogoś i przeprowadzili ze mną rozmowę ostrzegawczą. Sporządzili notatkę, w której było i o tej rozmowie na schodach, i o tym, że rozmowa ostrzegawcza odbyła się, że odmówiłam odpowiedzi na pytania. Nie napisali o tym, że sugerowali mi podpisanie czegoś.

I znów pytanie – co to wszystko mogło znaczyć? Urban twierdził, że w podziemiu w Polsce jest dwieście ileś osób, a na temat tej akcji napisano, że przesłuchano ponad trzy tysiące osób. Warto byłoby wyjaśnić, o co w tej akcji chodziło. To był rok 1986.

### **Wstyd siedzieć w komisji**

Nie przeczytałam w swoich papierach niczego na temat naszej akcji kontrolowania wyborów do sejmu w 1985 r. To była duża, dobrze skoordynowana akcja, liczyliśmy frekwencję wyborczą. Tu, w Krakowie, obstawione były wszystkie punkty wyborcze. Dane przesyłało się do jakichś centrów wyborczych. Do dzisiaj nie wiadomo, jaka naprawdę była frekwencja i jaka była różnica między ich a naszymi danymi. Oni zeszli z pułapu 98 proc. do chyba 69, a myśmy wyliczyli około 49 proc., różnica wynosiła mniej więcej 20 punktów procentowych. To warto wyświetlić, przecież to ważne dla historii, bo pokazuje skalę oporu powszechnego, nie tylko podziemia. W tę akcję włożyliśmy ogromnie dużo wysiłku. Mielśmy samoklejki różnej wielkości z hasłem „bojkot wyborów”, którymi okleiliśmy całe miasto. Był problem z komisjami wyborczymi, czy wpychać do nich swoich ludzi. Chętnych brakowało, bo ci, do których mieliśmy zaufanie, nie chcieli, żeby myślano, że oni mają coś wspólnego z władzą. We wcześniejszych wyborach „samorządowych” było w komisjach więcej naszych ludzi, ale później spotykały ich przykrości od znajomych. Wstydzili się uczestnictwa w komisjach. Nie chcieli narażać się na podejrzenia o kolaborację. Teraz ludzie mało czego się wstydzą. Ciągle nie rozumiem, dlaczego wówczas Korwin-Mikke wzywał do głosowania, wbrew naszym apelom o bojkot wyborów. Wolałabym znać odpowiedź na to pytanie.

### **Prowokować, a nie tłumić**

Sporo czytałam o inwigilacji naszego środowiska solidarnościowego w związku z wizytami Ojca Świętego, szczególnie w 1987 r. Warto zbadać, jak prowokowano zajścia uliczne. W Krakowie miały one miejsce. Na Błoniach była liturgia słowa. Ja wiem, że część osób, które organizowały służby porządkowe dla Kościoła, w imieniu podziemia nakłaniała ochotników do tej posługi (do dzisiaj nie mam zaufania do konkretnej osoby, która to robiła), żeby po wyjeździe Ojca Świętego z Błoni zorganizować zadymę. Było to uderzenie w Kościół, w nas i w powagę sytuacji, w cywilną służbę porządkową. Z tego, co pamiętam, kardynał Macharski musiał zmienić wszystkich ludzi w tych służbach, ale jednak taka zadyma była. Według moich obserwacji do zorganizowania prowokacji zostali przywiezieni rośli chłopcy. Idąc na spotkanie z Ojcem Świętym, widziałam samochody z takimi właśnie ludźmi, cywilnie ubranymi esbekami. Oni byli po to, żeby prowokować, a nie żeby tłumić.

### **Marsz nielegalnej manifestacji**

W materiałach, z którymi się zetknęłam, nic nie ma o pielgrzymce papieskiej w 1983 r. – o przygotowaniach SB, inwigilacji środowiska solidarnościowego. W Krakowie działy się rzeczy ciekawe, milicja ustąpiła pielgrzymom. Była Msza św. na Błoniach, a po południu odbywała się konsekracja kościoła w Mistrzejowicach. Postanowiliśmy iść z Błoni pochodem-pielgrzymką do Mistrzejowic. Wyjście z Błoni nie było łatwe, ale szliśmy. To był

ogromny pochód z transparentami „Solidarności”. On się musiał rozdzielić, jedna grupa szła ulicą Lubicz, drugi człon pochodu szedł Prądnicką i jeszcze była trzecia nitka, którą gdzieś w mieście zaatakowało ZOMO. Nas zatrzymali na końcu Alej Trzech Wieszczów i nie chcieli przepuścić, z helikopterów nawoływali do rozejścia się nielegalnej manifestacji, ale jednak przeszliśmy. Chyba się trochę bali skandalu.

### Odrzucona oferta

Następna rzecz, która jest dla mnie zagadkowa, łączy się z powstaniem WiP. Bardzo dobrze pamiętam, że dochodziły do nas sygnały z Niemiec, że tamtejsze ruchy pacyfistyczne są skłonne wspomagać finansowo „Solidarność”, gdybyśmy chcieli zabrać głos na temat rozbrojenia i protestować przeciwko NATO. Stare pomysły GRU. Myśmy stanowczo odmówili, w każdym razie tu, w Krakowie, argumentując, że to nie wchodzi w grę, mamy inne zagrożenia, a w NATO widzimy raczej parasol ochronny niż wroga. Niedługo potem powstał WiP. Zastanawiająca zbieżność w czasie. Czy oferta przez nas odrzucona została przyjęta przez kogoś innego? W Krakowie inicjatorem WiP był Jan Maria Rokita. Był organizatorem też czegoś innego, w co zaangażował się – słusznie czy nie – Zbigniew Romaszewski. Mówię o słynnym panelu o prawach człowieka zorganizowanym w 1988 r. w Mistrzejowicach, chyba na początku września. To było zupełnie oficjalnie organizowane z pułkownikami bezpieczeństwa. Trzeba się było akredytować. Oficjalnie musiałam powiedzieć, że jestem z „Kroniki Małopolskiej”, która jeszcze wychodziła jako pismo podziemne. Wydawało mi się to dziwne i bez sensu. Był na tym spotkaniu i Kułakowski, i przedstawiciele opozycji rosyjskiej z zachodniej emigracji, a pamiętajmy, że granice jeszcze wtedy nie były otwarte, czyli ich przyjazd odbył się za wiedzą i przyzwoleniem służb. Myślę, że to było w pełni kontrolowane i niepotrzebne.

### Odtwarzanie struktur

Pod koniec 1987 i w 1988 r. uczestniczyłam w odtwarzaniu struktur „Solidarności” pracowników nauki. Byliśmy m.in. na Uniwersytecie Gdańskim, potem w Warszawie, w końcu w każdym ośrodku akademickim. Ostatecznie przybrało to formy – powiedziałabym – takie jawno-konspiracyjne, spotykaliśmy się na uczelniach. Było nas coraz więcej, na spotkaniach bywało po kilkadziesiąt osób, więc trudno mówić o konspiracji. Środowisko naukowe integrowało się. Pamiętam takie spotkanie na KUL, które odbyło się, za zgodą władz, w jakiejś auli. Gościem spotkania był Zbigniew Bujak. To było zimą, kilka miesięcy przed „okrągłym stołem”. Po części zamkniętej zostali zaproszeni na to spotkanie studenci, aula była pełna. Bujak mówił o koncepcji „mądrego” kompromisu 35:65 (na wybory w 1989 r. patrzyłam, mając tamto spotkanie w pamięci). Awantura była wielka. Ktoś z „inteligencji” wpadł na taki pomysł, a to było przypinanie znaczka „S” do cudzego kożucha. A przecież za nami było osiem lat pracy i szkoda było ją tak kończyć. Było gorąco, myślałam, że ludzie go tam rozniosą na szablach. Dla niego było to spotkanie nieudane, a dla mnie bardzo ważne. Okazało się, że „okrągły stół” to była taka impreza dla tłumów, a negocjacje i ustalenia zapadły gdzie indziej, kiedy indziej i nawet chyba nie w Magdalence. Gdzie indziej i wcześniej. Ta sprawa odbierała mi tę czystą radość działania w „Solidarności” i w podziemiu. To działanie było trudne, ale dawało satysfakcję i wiedzieliśmy, że drogo mogło kosztować.

### Jazda pod prąd

Mnie strzegła Opatrzność, nic mi się złego nie stało, ale były momenty, kiedy chciano mnie odstraszyć od działalności w sposób drastyczny. Wracałam kiedyś od koleżanki, to

było latem 1984 r., jeszcze przed śmiercią księdza Jerzego. Koleżanka mieszkała niedaleko. Dochodziła północ, było ciepło, szłam spacerkiem. I nagle, cóż ja widzę – na jezdni pojawia się jadący w tempie moich kroków biały polonez, a w nim czterech panów. Nie jest łatwo jechać w takim spacerowym tempie. Co jakiś czas otwierają się drzwi od tego samochodu. Na ulicy nie było nikogo, więc nie było żadnej obrony. Co robić? Nie pamiętam, czy kiedykolwiek w swoim życiu tak się bałam, ale dalej szłam w stronę domu. No, bo gdzie miałam iść? Tylko przeszłam na drugą stronę ulicy, żeby musieli jechać pod prąd. Jechali więc pod prąd. Demonstrowali, kim są i że są. Zbliżamy się do mojego domu. Bałam się, ale nadal szłam spacerowym krokiem, jakbym ich nie widziała. Jeśli mnie nie porwą, to co będzie w domu? Najpierw trzeba wejść do bramy, po nieoświetlonych schodach przejść przez wahadłowe drzwi do nieoświetlonej właściwej klatki schodowej, gdzie są różne zakamarki, zejście do piwnicy itd. Jak wjadę windą, to co na piątym piętrze? Gdy zamknęłam za sobą drzwi od mieszkania, to nie miałam siły, żeby wejść do pokoju. W taki sposób dawali mi sygnały o sobie, że są, że wiedzą o mnie, że mogą mnie namierzyć w każdym momencie. Pamiętam, że na jakimś przesłuchaniu powiedzieli mi, że nie będą ze mnie robić bohaterki, bo to mi się może opłacić. To były niemiłe przeżycia, ale one utwierdzały mnie w tym, że trzeba robić to, co się robi. Miałam komfort psychiczny, że znajduję się w dobrym miejscu, że robię to, co jest w tradycji polskiej, opieram się złu w takim zakresie, w jakim mogę, do jakiego jestem powołana.

Ludzie ponosili śmierć – w Krakowie i nie tylko tu – wielu ludzi zapłaciło za „Solidarność” ogromną cenę, a tu jacyś szalnierze będą sobie dzielić 35:65. W tym kontekście było to dla mnie porażające, tak zresztą jak cały ten układ z tzw. listą krajową, to posunięcie Zolla, II tura wyborów, która była bezprawiem kompletnym, zrobiona po to, żeby uratować czerwonych, którzy nie przeszli z listy krajowej. W moim wspomnieniu „Solidarności” – czegoś, co jest takie czyste, szlachetne i dobre, chociaż chwilami groźne – jest właśnie ten osad. Pewne rzeczy dzisiaj widzę nie tylko jako coś pełnego spontaniczności, ale też czegoś mrocznego i przebiegłego.

### **Sztafeta pokoleń**

Działalność na naszym Wydziale Filozoficzno-Historycznym w Instytucie Pedagogiki rozpoczęliśmy pod koniec września 1980 r. Było mnóstwo ludzi, co mnie bardzo cieszyło, ale martwiło mnie, że był straszliwy chaos i brak zdecydowania, co należy robić dalej, bo pomysłów było tysiące. Ja gorąco protestowałam przeciw powołaniu związku zawodowego szkół wyższych – bo po co w takim razie powstała „Solidarność” – przecież nie chodzi o to, żebyśmy byli osobno, tylko razem. W końcu przegłosowaliśmy przystąpienie do „S”, powołaliśmy grupę inicjatywną i to się tak wszystko zaczęło. Ja organizowałam to w swoim instytucie. Ludzie nie bardzo byli zorientowani, każdy miał jakiś pomysł. Najbardziej drażnili mnie krzykacze, którzy już prawie z szabrami szli na Związek Sowiecki, który nie był również moją miłością, ma się rozumieć. Ja jestem raczej opcji niepodległościowej i rozumiałam „Solidarność” nie jako *stricte* związek zawodowy, tylko jako ruch niepodległościowy. I czułam, że to jest taka sztafeta pokoleń – po AK myśmy byli następnym pokoleniem, które ma coś tu zrobić, ale na pewno nie bezproduktywnym wymachiwaniem szabelką, nie krzykiem.

### **Bolesne momenty**

Szokiem był dla mnie marzec 1981 r., myślę o Bydgoszczy. To było złamanie tej spontanicznej jedności. To był pierwszy straszny cios wymierzony w „Solidarność”. Pamiętam ta-



kich zwykłych ludzi, nie działaczy „Solidarności” – robili zapasy. Mówili – przecież trzeba będzie tym strajkującym pomóc. W Krakowie po prowokacji bydgoskiej był bardzo silny nastroj jedności wśród ludzi, wszyscy czekali na strajk generalny. Kiedy przyszła wiadomość, że strajku nie będzie, miałam z kolegami nocny dyżur w Komisji Zakładowej „Solidarności” na uniwersytecie. Jak przyszła ta wiadomość, myśmy się popłakali. To było porównywalnie mocne przeżycie, jak to w 1986 r., kiedy ja się złościłam, ale ci Ślązacy, takie chłopcy na schwał, klęli tak, że lepiej tego nie powtarzać, i płakali, że tego spotkania nie będzie, bo liczyli, że coś ruszy do przodu. To był drugi taki bolesny moment. Trzeci to był ten Bujak. Przestałam mu wierzyć, jak przedstawił na KUL tę strategię. Wcześniej przestałam wierzyć Geremkowi. Chodziło o milion dolarów, które w 1987 r. „Solidarność” dostała ze Stanów Zjednoczonych. Urban wówczas rozpętał burzę, że to są szpiegowskie pieniądze, z obcego państwa, organizował front oczernienia „Solidarności”. Geremek zajął wtedy takie stanowisko, że te pieniądze trzeba przekazać na Fundację Zdrowia (na co zresztą dostaliśmy osobne pieniądze), a te były przeznaczone na działalność wolnych związków zawodowych, na prasę i na podobne cele. I to, że on zaczął mówić językiem Urbana, przytakiwał jego argumentom, kazało się zastanowić, kim on właściwie jest w naszym gronie.

### **Newsy z RWE**

Znaki zapytania zaczęły się mnożyć. Kolejny dotyczył Radia Wolna Europa, które zawsze było moim oknem na świat, tak byłam w domu wychowana. Zaczęłam słuchać RWE, gdy miałam 8 lat, ono wtedy powstało, słuchałam go od pierwszej audycji. Sądano mnie przy radiu, miałam słuchać i zachować na ten temat milczenie, nikomu nie mówić, nawet najlepszej przyjaciółce. Niczego innego nie słuchałam, odbiornik na stałe był nastawiony na RWE.

W Nowym Sączu zamordowano Zygmunta Szkarłata, to był działacz „Solidarności”, który zginął w niewyjaśnionych okolicznościach, wyglądało to na skrytobójstwo. Przekazaliśmy to naszymi kanałami do RWE i czekałam, żeby oni to ujawnili. Oczywiście nie nie powiedzieli o zabójstwie Szkarłata, a największym newsem tego dnia było to, że Kuroń został zatrzymany na 45 minut. Mnie to po prostu poraziło. Ilu ludzi zatrzymywano w tym dniu na 45 minut i na dłużej, a tu człowiek zginął! To był pierwszy moment nieufności. Zaczęłam obserwować RWE pod kątem uprawiania polityki w Polsce, promowania KOR. I tak sobie myślałam – dlaczego nigdy w RWE nie słychać chociażby o Kaczyńskich? Ciągłe jest Kuroń, Modzelewski, Michnik. Sprawa Szkarłata to był moment odczarowania RWE.

### **Kiedy umarła komuna**

Ostatnio dostałam z IPN pakiet materiałów dotyczących mnie. To były raporty wypracowane przez Hryniewicza i Waškę, którzy chyba mieli mnie pod swoją kuratelą. Ostatni z tych raportów nosi datę 16 maja 1989 r. i dotyczy całkowicie oficjalnego spotkania wyborczego, niecałe trzy tygodnie przed wyborami czerwcowymi. Po „okrągłym stole” wszystko odbywało się nadal pod ścisłą kontrolą tej samej służby, która funkcjonowała w najlepsze. Tego też nie próbowano załatwić. Materiał SOR „Marysia”, czyli dotyczący mnie, został zniszczony 31 stycznia w 1990 r., za kadencji Krzysztofa Kozłowskiego. Nie dopatrzono jednak wszystkiego, jak widać. Zachowały się bowiem dokumenty pozwalające ujawnić 26 TW działających na UJ. Bardzo to zdziwiło pana Kozłowskiego, czemu dał wyraz w wypowiedzi dla „Gazety Wyborczej”. Ciekawe, czy 16 maja 1989 r. jest ostatnim dniem inwigilacji mojego środowiska, czy może mamy starać się w IPN o materiały z lat dziewięćdziesiątych? Kto

mnie wtedy inwigilował? Wygląda na to, że Joanna Szczepkowska nie miała racji – komuna nie upadła po 4 czerwca 1989 r.

To wszystko jest bardzo gorzkie. Pracowicie nam wmawiano, że mieliśmy rządy „Solidarności”, choć prezydentem był Jaruzelski wybrany w haniebnym głosowaniu, a premierem miał być Kiszczak. Co mieli wspólnego z „Solidarnością” Kiszczak i Siwicki, kierujący dwoma kluczowymi resortami? W obiegowej opinii do tej pory funkcjonuje przekonanie, że rząd Mazowieckiego to był rząd „Solidarności”. Nieprawda, to nie był taki rząd. Potem też nie było takiego rządu, niezależnie od tego, że mogli go tworzyć porządni ludzie, bo co robił w rządzie Olszewskiego minister finansów Olechowski, którego zresztą wylansował Wałęsa?

### **Z Wachowskim o związku**

A jeśli chodzi o Wałęsę, ja byłam w jego sztabie wyborczym, byłam pewna, że to jest ten człowiek. Właściwy człowiek na właściwym miejscu. To przekonanie trwało może dwa lata, do czasu, kiedy oficjalnie rozpoczął wspieranie lewej nogi. Pamiętam taki obrazek z telewizora – Wałęsa podpalający papierosa Ewie Spychalskiej, patrzący na nią jak urzeczony. A w klapie marynarki znaczek z Matką Bożą. Było to wstrętne. Spychalska, szefowa OPZZ. Za Wałęsę chciano mnie kiedyś wyrzucić ze związku, gdy w jakimś wywiadzie dla „Gazety Wyborczej” powiedziałam, że ja bardzo cenię instytucję błazna na dworze królewskim, ale bardzo jest niedobrze, gdy król jest błaznem. Wielu działaczy „S” było jeszcze całkowicie po stronie Wałęsy i ludzie chcieli mnie za to wyrzucić ze związku. A ja nie mogłam pojąć jego stanowiska w sprawie wyprowadzenia wojsk sowieckich. Od 1992 r. całkowicie nie miałam już do niego zaufania. Wcześniej miałam pretensje do niego, że kiedy został prezydentem, nie poparł Lecha Kaczyńskiego na szefa związku. Byłam w tej sprawie u niego i to właśnie było nieładne, że on do rozmowy wystawił mi Wachowskiego. Do rozmowy o związku!

### **Obiad u kapucynów**

Gdy w 1988 r. Wałęsa miał przyjechać do nas, przygotowaliśmy scenariusz nawiązujący do pamięci o Naczelniku Kościuszcze. W naszym mieście są miejsca uświęcone tradycją. Chcieliśmy, żeby Wałęsa mieszkał blisko Rynku, żeby go witały kwaciarki, żeby po spotkaniu poszedł na obiad do kapucynów, gdzie był Kościuszek, a ich kościół był związany z Konfederacją Barską i wieloma niepodległościowymi działaniami. Miał przejść prawie królewskim traktem. Zarezerwowaliśmy miejsce w Hotelu pod Różą na Floriańskiej, nie na nazwisko Wałęsy, podaliśmy jakieś inne. Rezerwację przyjęto, ale w pewnym momencie dostaliśmy wiadomość, że umowa rezerwacji została zerwana. Poszliśmy tam z awanturą i w końcu usłyszeliśmy, że „w tym hotelu nie ma podsłuchów, trzeba by wszystko kuć”. Ale i tak Wałęsa i Wachowski chcieli mieszkać w „Forum”, nowym hotelu dla nowobogackich. W gruzach legł pomysł ze spacerem przez Rynek, z kwaciarkami. A na obiad chcieli iść do Wierzynka. Tu jednak nie ustąpiliśmy i powiedzieliśmy, że obiad u kapucynów. I jeszcze im powiedziałam, że będą jedli to, co w piątek jedzą Polacy, bez żadnych wystawności. Mieliśmy różne style.

Wysłuchała i opracowała Barbara Polak